

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Srebrzystoszare ciała patrzyły w niebo szklistym wzrokiem, a kapitan Asger Sidort czuł w stosunku do nich wyłącznie obojętność. Przechadzał się pomiędzy zamrożonymi trupami, zajęty własnymi myślami, uważając jedynie, by materiał długiego, ciemnego płaszcza nie otarł się o zwłoki. Był świadomy irytującej obecności gospodarza zaniedbanej strażnicy, w której utknęli dwa dni temu, jednak starał się ją ignorować. Zerknął w bok, szukając swego zastępcy, porucznika Kerka Tora, który jeszcze przed chwilą wędrował między trupami razem z nim. Znalazł go kilka kroków dalej, przykucniętego pod wysokim, kamiennym murem otaczającym podwórko. Na jego wytatuowanej twarzy trudno było odczytać emocje, Asger jednak znalazł go na tyle długo, by zorientować się, że porucznik intensywnie się nad czymś zastanawia.

Westchnął w duchu, przystanął i wreszcie spojrzal na gospodarza. Pułkownik Vuk Ragon patrzył na niego dumnie uśmiechnięty.

– Jak długo tu leżą, pułkowniku? – zapytał Asger. Obłoki pary, które wydobyły mu się z ust wraz ze słowami, zaskrzyły się na mrozie.

– Od kilku dni. Mrozy przemieniły ziemię w skalę. Nie ma na razie potrzeby kopać grobów, nic im nie grozi. Cuchnąć w takim

zimnie nie będą, zwierzęta nie dostaną się przez mur. Poczekają na odwilż.

– Godna podziwu skuteczność i... rozsądek. – Młody człowiek mówił głosem pozbawionym emocji, wspomnianego podziwu także próżno byłoby w nim szukać.

Mimo to Vuk Ragon skłonił się nieznacznie i odparł:

– Dziękuję. Słyszałem, że skuteczności nie można odmówić również panu, kapitanie Sidort. A teraz chodźmy, zaraz podadzą obiad. Poruczniku, mam nadzieję, że zaszczyci nas pan swoją obecnością. – Trwający dotąd niemal bez ruchu rudy chudzielec zerwał się na równe nogi i w milczeniu podążył za pozostałymi oficerami.

\*\*\*

Kapitan Asger Sidort grzebał widelcem w pieczonym kurczaku i próbował powstrzymać mdłości.

– Nie ma pan apetytu?

Asger potrząsnął głową.

– Nie czuję się najlepiej – skonstatował z rezygnacją. Przed chwilą zakręciło mu się w głowie, a pierwsze kęsy obiadu musiały spuchnąć w żołądku, bo miał wrażenie, że nic więcej w nim nie zmieści.

Porucznik Tor z niepokojem popatrzył na dowódcę.

– Co się dzieje, kapitanie? – zapytał.

Asger niecierpliwie machnął ręką.

– Nic. Przejdzie.

– Kapitanowi zapewne doskwiera nuda – stwierdził pułkownik. – Przykro mi, że utknęliście tutaj, ze starym kaleką. To nie jest miejsce dla młodych oficerów. Mam nadzieję, że wkrótce będziecie mogli połączyć się ze swoim regimentem.

Sidort patrzył bezmyślnie, jak Ragon nieporadnie kroi jedzenie lewą ręką. Prawy rękaw kurtki zwisał pusty. Kapitan odłożył sztućce, z trudem powstrzymując się przed odsunięciem od siebie talerza. Zapach jedzenia drażnił go. Chwycił kielich z winem.

– Miałem zaszczyt poznać pana ojca, kapitanie – ciągnął Ragon. – Jeżeli jest między wami chociaż niewielkie podobieństwo, nie dziwię się, że bezczynność daje się panu we znaki. Erig Sidort był niezłomnym bohaterem. To dla mnie zaszczyt gościć jego syna. Musi pan czuć się niezwykle dumny z ojca. Chociaż, zapewne, czasem to niełatwe. Nazwisko Sidort zobowiązuje. Porównań nie da się uniknąć.

Asger drgnął, jakby nagle otrząsnął się z otępienia. Spojrzał w twarz starszego mężczyzny i wzruszył ramionami.

– Być może, pułkowniku. Nie myślę o tym. Nigdy nie zamierzałem ścigać się z legendą ojca. Nigdy nie miałem ambicji, by zostać bohaterem.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale poczuł kolejny zawrót głowy. Przymknął oczy, dotknął dłonią czoła. Westchnął zrezygnowany, gdy stwierdził, że skóra jest trochę zbyt ciepła. Nie zwrócił uwagi na ciszę, która zapadła po jego słowach, nie zauważył zawodu i wyrzutu w oczach Ragona.

– Tak... – rozległo się po chwili. – Trudno się dziwić, że młodzi mają w głowach co innego. Również w takich czasach. Nawet, jeśli jest się synem Eriga Sidorta. Młodzi chcą żyć i z życia korzystać. A starzy? Szkoda, że starzy bywają już tak bezużyteczni. – Chwycił pusty rękaw i zamachał nim groteskowo.

– Pułkowniku, widzimy zaangażowanie – wtrącił porucznik. – Wyjątkowo skutecznie oczyszcza pan okolicę z resztek wojsk regenta.

– Mam pewnych i lojalnych ludzi, ale sam zaledwie się przyglądam. Nie potrafię już nawet usiedzieć w siodle kilku dłuższych

chwil. Jestem wdzięczny, że moją posiadłość przemianowano na stanicę, ale zdaję sobie sprawę, że to trochę na pocieszenie. Żeby stary człowiek poczuł się potrzebny. Wojna zrobiła ze mnie kalekę. Oplacalo się, jednak i tak robię, co potrafię, by nie czuć się zupełnie bezwartościowym. Każdy z tych trupów – wskazał za okno – cieszy moje serce. Bo zaświadcza, że nawet ja mogę się do czegoś przydać. Ale jakże wam zazdroszczę. Młodym, pełnym sił. Też taki byłem i czulem, że mogę zawojować świat. Kilku więcej takich jak ja i jak Erig Sidort – a wojna zaczęłaby się znacznie wcześniej i już dawno byłoby po niej. Wszystko potoczyło się inaczej. Szkoda. – Zerknął na przygarbionego Asgera, patrzącego w przestrzeń pustym wzrokiem, i lekko zmarszczył nos.

Za to porucznik Tor spojrzal na Ragona z uwagą i namysłem.

– Tak, pułkowniku. To jest niezwykle ważne – czuć się potrzebnym.

\*\*\*

Zmrok zapadał szybko i zimny, wilgotny korytarz był już niemal całkowicie pogrążony w ciemności. Asger chciał jak najprędzej dotrzeć do swej kwatery, ale mocne pociągnięcie za lokieć zatrzymało go raptownie.

– Kapitanie, coś tu się dzieje. – Dramatyczny szept Kerka wsączył się w ucho Sidorta, wywołując dreszcz. Asger spojrzal na podwładnego zirytowany i rozkojarzony. Niezrażony porucznik mówił dalej:

– Trupy... Nie wyglądają na maruderów, szpiegów czy kogo tam.

– A jak wyglądają maruderzy?

Kerk Tor przygryzł wargę. Podniósł dłoń, w której trzymał niewielką latarenkę. Wątył ogień nieco oświetlił twarz dowódcy.

Pomarańczowy płomień zamigotał w oczach Asgera, chwilowo przeganiając z nich inny, niezdrowy blask.

– Tak, racja. Idź do siebie, odpocznij. Masz gorączkę. Zaraz ci coś przyniosę.

\*\*\*

Następnego dnia rano porucznik Tor krytycznie obserwował wysiłki ćwiczących jeźdźców. Niewielki dziedziniec nie nadawał się do musztry, ale coś zrobić przecież trzeba było. Podzielił żołnierzy na dziesiątki i patrzył na sprawnie wykonywane wolty. Poprzedniej grupie szło gorzej, a wszystko z winy nowego. Jego koń uparcie, w połowie manewru, przechodził z klusa w stępa i młody żołnierz nie potrafił sobie z tym poradzić. Bojan Wit był najnowszym nabytkiem trzeciej kompanii, przydzielonym przez pułkownika Mikela Elifa w ramach uzupełnień, i wciąż umiejętnościami wyraźnie odstawał od reszty oddziału. Tak naprawdę po tym, co pokazał, według Kerka w ogóle nie powinien był do niego trafić. Lecz trudno wybrzydzać. Potrzebowali nowych sił.

Asger zbliżał się szybko, równym krokiem, po drodze machając w stronę sierżanta Hadara. Potężny mężczyzna dobiegł do dowódcy, gdy ten stanął już przy poruczniku.

– Przejmij ćwiczenia, Hadar.

Poprowadził zastępcę do siermiężnych kruzganków, skryli się w ich zaciszu. Kerk patrzył na dowódcę podejrzliwie.

– Już mi lepiej – mruknął Sidort.

– Ale wieczorem wróci.

– A za kilka dni zniknie zupełnie, jak zawsze. I tak chwilowo nie mamy co robić, nie ma się więc czym przejmować.

Nieprzekonany porucznik pokręcił głową i westchnął głęboko. Asger to zignorował.

– Powiedz mi lepiej, Kerk, co ty wczoraj ode mnie chciałeś. Mam wrażenie, że to było coś ważnego, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć – co.

Kerk skrzyżował ręce na piersi.

– Te trupy, Asger. Myślałem o tym jeszcze przez noc. Tu są same trupy. Żadnych jeńców, aresztowanych. Trupy. Oglądałem je wczoraj. Chłopskie twarze.

– Czy to takie niezwykle? A skąd rekrutuje się żołnierzy?

Porucznik pokręcił głową.

– Buty – rzucił.

– Co, buty?

– Było ich tam ośmiu. Dwóch miało prawy but na lewej nodze i odwrotnie. Jeden w ogóle buty nie do pary.

Asger zastanawiał się przez chwilę.

– Zostali zaskoczeni, ubierali się w pośpiechu. A że nie do pary... Mogły być zdobyczne, lepsze takie niż chłopskie łapcie. Dobrze o tym wiesz.

Kerk sceptycznie przechylił głowę i Asger od razu pojął, co zastępca myśli o jego słowach.

– To nie jest niemożliwe – dodał speszony.

– A mundury?

Kapitan spojrzał na zastępcę pytająco.

– Co, mundury? Kerk, nie mów zagadkami.

– To były strzepy, nie mundury. Dobrze – uniósł dłoń, widząc, że Asger chce mu przerwać – wiem, że spędzili dużo czasu w lesie, wyglądali więc, jak wyglądali. Ale krew... Zasnęta krew na ubraniu niekoniecznie pokrywała się z ranami.

– Zazwyczaj jest dużo krwi. Więcej, niż wydaje się to możliwe.

– A dziury po kulach? Pod którymi nie było ran?

Asger zacisnął wargi, milczał długo.

– To mogły być stare otwory. To mogły być zdobyczne mundury. To mogło być wiele innych rzeczy. Nie oglądałeś dokładnie.

Kerk zapatrzył się na musztrowanych żołnierzy, z namysłem marszcząc brwi.

– Nie, coś tu nie pasuje.

Zapadło niezręczne milczenie. Chwilę obserwowali, jak kolejna dziesiątka dosiada koni.

– Pulkownik narzekał wczoraj, że dach w zachodnim skrzydle straszy dziurami. Może kazać im się tym zająć? – Kerk wskazał brodą zwolnionych żołnierzy. Asger w odpowiedzi pokiwał głową, zajęty jednak innymi myślami. – I może niech pomogą wykopać wreszcie groby dla tych nieszczęśników.

– Nie! Nie – powtórzył Sidort łagodnie. – Moi ludzie nie będą kopać więcej grobów niż to konieczne. To kłopot pułkownika, nie nasz. – Przygryzł wargę, ale zaraz kontynuował z namysłem. – Poruczniku, Ragon był... jest bohaterem. Mimo kalectwa chce się wykazać, czuć się użytecznym. Cholera, Kerk, co ty sugerujesz? Ragon pewnie trochę przesadza, zapewne nie wszyscy musieli zginąć. Ale to nie czyni go pospolitym mordercą. – Zamilkł znowu, jakby zastanowiły go własne słowa.

– Tak jest, kapitanie – odparł Kerk, jednak dopiero po chwili, matowym głosem.

Stali, obserwując, jak grupa jeźdźców z trudem manewruje na niewielkim placu, konie ślizgały się na zmrożonym śniegu. Asger przesunął spojrzenie na żołnierzy, którzy zakończyli już musztrę. Nowy stał nieco na uboczu, z bezczelnym, pewnym siebie uśmiechem patrząc na zgrabnie trzymającą się w siodle sierżant Dalinę Trakie.



– Co myślisz o tym nowym? Jak mu tam...?  
– Bojan Wit. Zadaje dużo pytań.  
– Jakich pytań? – Asger zareagował niespodziewanie ostro.  
– Różnych. Nie zna nikogo, zapewne chce się żyć. O ciebie też pyta, jest ciekawy. To naturalne. – Kerk wzruszył ramionami. – A poza tym odstaje. Musi się sporo nauczyć. Ma pewne umiejętności, ale jakby dawno z nich nie korzystał. Dziwne. W końcu to młody chłopak.

– Właśnie. Ile ma lat? Osiemnaście? Spójrz, jak obserwuje Dalinę. Jaki dzieciak tak spogląda na dziewczyny? Jak... drapieźnik. Jest dziwny. Zachowuje się dziwnie, patrzy dziwnie.

Porucznik zerknął na dowódcę nieco zaskoczony, ale gdy zorientował się, że ten mówi zupełnie poważnie, uśmiechnął się lekko.

– A ty masz ile lat?

Na blade policzki Asgera wypłynął rumieniec, gniewnie zaciśnął wargi.

– Znacznie więcej – odparł urażonym tonem.

Kerk już otwarcie parsknął śmiechem.

– Ale znam cię od jakiegoś czasu. I nieraz dawałeś mi powód, bym pomyślał, że jesteś dziwny... Kapitanie – dodał służbiście.

– A stwierdził to zupełnie zwyczajny lekarz, tatuujący sobie na skórze receptury.

Perfekcyjny szyk żołnierzy załamał się nagle, gdy przez bramę przejechała niewielka grupka ludzi Ragona. Hadar dał znak, by zrobić im miejsce. Ciemna płachta, ciągnięta przez konie znaczyła w śniegu ślad, głęboki z powodu ułożonego w niej ciała.

Asger oparł się o kolumnę i znużonym wzrokiem odprowadził śpieszącego w stronę przybyłych porucznika.

\*\*\*

Ciemność ogarnęła świat już popołudniem. Czerni lasu kończyła się tam, gdzie zaczynało grafitowe, pozbawione gwiazd niebo. Cisza dzwoniła w uszach i niepokoiła. Nie przypuszczał, że tu, wciąż jeszcze blisko południowych krańców Sahinry, trafi im się taka zima, i to teraz, kiedy od tygodni powinna trwać już wiosna.

Pochodził z północy. Przenikliwie zimno jeszcze niespełna dekadę temu było dla niego niemal codziennością. Nigdy się jednak do niego nie przyzwyczaił. A może po prostu już się odzwyczaił? Przynajmniej pułkownik Elif powinien być zadowolony. Asger doskonale wiedział, dlaczego jego oddział został odesłany na zwiady w ten niemal dziki rejon. Departament Ładu i Spokoju Wewnętrznego wciąż wyjaśniał śmierć swego agenta, kapitana Byrda Rasmu. Pułkownik zapewne miał naiwną nadzieję, że im się zdzudzi, zanim zdolają gruntowniejsz niż dotąd przesłuchać głównego świadka, kapitana Sidorta. Świadka, a zapewne i podejrzanego. Postanowił więc trzymać swego podwładnego poza zasięgiem organów bezpieczeństwa wewnętrznego tak długo, jak będzie to możliwe. Asger miał wątpliwości co do sensu tej zabawy w podchody, ufał jednak bardziej doświadczonemu zwierzchnikowi. No i wcale nie spieszyło mu się do kolejnej konfrontacji z funkcjonariuszami ministerstwa.

Jeszcze późnym rankiem wydawało się, że nadchodzi odwilż. Kapitan kazał siodłać konie i z kilkoma ludźmi galopem wypadł przez bramę. Utknęli po mili. Mokra, biała breja lepiała się do kopyt, konie szły z coraz większym trudem. Wrócili przemoczeni, zmarznięci i źli.

A teraz ponownie chwycił mróz. Śnieg, pokrywający wschodni taras, skrzypiał pod nogami. Asger wpatrywał się w las, nie odwracając głowy w stronę odgłosu zbliżających się kroków.

– Jak się udała wycieczka? – Pułkownik Ragon przystanął obok młodszego oficera, podał mu kielich wypełniony winem.

– Nie udała, pułkowniku. Ale pana ludzie jakoś sobie radzą.

– Znają tu każdy kąt, każde drzewo. Wy nie.

Sidort zacisnął palce na zimnym kielichu. Wyczuł jego fakturę, skomplikowane cięcia. Podniósł naczynie na wysokość oczu. Wino zdawało się prawie czarne, a kryształowe szkło polyskiwało w słabym świetle padającym z okien dworu.

– Piękny.

Pułkownik pokiwał głową.

– Ostatnimi czasy doceniam piękno. Kiedyś było mi wszystko jedno, mogłem pić z glinianego kubka. Teraz myślę, że to nie to samo.

Asger poprawił płaszcz, otulił się szczelniej.

– Zimno?

– Tak, pułkowniku.

Vuk Ragon oparł dłoń o otaczający taras murek, wychylił się w kierunku lasu.

– Co kryje się wśród tych drzew, kapitanie?

Asger poczuł narastające zmęczenie.

– Dezerterzy? – zapytał bezmyślnie.

– Też. Ale pan wie, Sidort, lata temu, dziesiątki lat temu, ten las był pełen innych istot. Mam księgi, pamiętniki moich przodków. Nie wszystko rozumiem, bo przecież od tak dawna... Ale pan słyszał, musiał słyszeć... Coś się dzieje. – Odwrócił się w stronę Asgera, patrzył na niego błyszczącymi w mroku oczami. – Słychać plotki. Nic oficjalnie, nic na pewno. Tylko plotki. Ale pan musi wiedzieć... W takich miejscach... – Wyciągnął rękę, zataczył nią luk. – Niech pan powie, czy te pogłoski mają w sobie coś z prawdy. Czy oni... wrócą? Jak to możliwe? Przecież...

Kapitan milczał, słuchając coraz bardziej belkotliwej przemowy pułkownika. Lekko potrząsnął głową, próbując przegonić wizje przemienionych mieszkańców Smutnego Lasu, wspomnienie rozrywających jego ramię klów zdziczałego napastnika, niezwykłą moc, wypełniającą żyły wśród niepokojących szeptów drzew.

Spróbował wina. Było mocno korzenne, miało wyraźny posmak dębiny. A Ragon musiał napocząć butelkę już wcześniej.

– Dusze, kapitanie. Demony. Tak długo mieliśmy spokój. Ta pamiętna wojna, pokolenia temu, która przyniosła tyle spustoszeń, jak żadna przed nią i żadna potem. Przez magię. Może to nie tak, że udało nam się po niej zniszczyć zagrożenie. Może po prostu... Może po prostu magia sama z siebie... – Język zaczął mu się plątać, zmarszczył brwi, próbując się skupić. – Sama siebie wówczas pokonała, osiągnęła granice, wyczerpała się. Rozumie pan, kapitanie? Ale się odradza, powróciły jej siły. Miałem czas, by myśleć. Butnie ogłosiliśmy zwycięstwo. Albo skazała ziemię, powietrze, drzewa. I teraz się na powrót uwalnia. A może starzy bogowie się na nas rozgniewali. Myśleliśmy, że udało nam się wygrać z potęgą, której nigdy do końca nie rozumieliśmy. W jak wielkim byliśmy błędzie. Ona wraca, jeszcze bardziej nieobliczalna.

Asger chciał się odwrócić, poczuł jednak, jak ogarnia go nagle fala słabości. Zacisnął palce na murku, wypuszczony z dłoni kielich spadł w ciemność, rozbijając się gdzieś niżej z głośnym, spotęgowanym przez echo brzękiem.

– Nie wiem, pułkowniku. Nie wiem – szepnął.

\*\*\*

– Kapitanie! Ten ostatni trup... – Porucznik Tor przerwał na widok dowódcy. Asger siedział w fotelu, a właściwie to w nim tonął.

Szczupłe ciało zdawało się być pożerane przez zbyt obszerny mebel. – Kapitanie...

Asger nie otworzył oczu. Lekko tylko uniósł dłoń, która zresztą zaraz ponownie opadła na podłokietnik, wykrzywił usta.

– To jest najwygodniejsza kwatery, jaką miałem w życiu. Czego chcesz, Kerk? Dlaczego nie pukasz? – wyszeptał chrapliwie.

– Zostawiłeś uchylone drzwi. Ten trup, którego dziś przywieźli. Mam wrażenie, że za życia był niespełna rozumu. To samo zresztą – zaczął się, patrząc na szarą, zroszoną kroplami potu twarz dowódcy – myślałem wczoraj... Dwóch z tamtych... Asger, źle z tobą – zakończył wreszcie rzeczowo.

– To minie. Idź sobie. Zostaw mnie.

Ale porucznik nie posłuchał. Podeszedł do dowódcy, położył mu dłoń na czole.

– Czekaj tu. Pójdę po torbę. Znowu gorączkujesz.

Asger odsłonił zęby w jakiejś upiornej imitacji uśmiechu.

– No co ty? Idź. Nie musisz wracać. Rano będzie lepiej.

Kerk wypadł na ciemny korytarz, po omacku kierując się do swojego pokoju. Biegł chyba trochę za szybko, bo tuż za zakrętem zderzył się ze śpieszącym z przeciwnej strony olbrzymem.

– Uważaj, Hadar!

– Przepraszam, poruczniku. Ciemno tu jak... – Ugryzł się w język, zasalutował. Szybko skojarzył fakty. – Co z kapitanem?

– Ma gorączkę. Nie rozumie, co się do niego mówi. Nie rozumie najprostszyc rzeczy. Nawet nie słucha!

Hadar popatrzył na niego z dezaprobatą.

– Jest chory. Poruczniku, przecież może pan coś z tym zrobić, jest pan lekarzem. Te nawracające gorączki robią się trochę niepokojące.

Kerk zbliżył się do sierżanta na odległość niespełna kroku.

– Czyżbyś sugerował, sierzancie, że coś zaniedbuję? – Bardziej poczuł, niż zauważył w ciemności, że Hadar wyprężył się na baczność. – Niestety, twój drogi kapitan mnie nie słucha. Nie ma zamiaru iść spać i nie budzić się przez następny tydzień, a najlepiej dwa. Może to by coś pomogło, chociaż pewien nie jestem. A teraz, Hadar, teraz... – Z trudem zbierał myśli. – Teraz muszę znaleźć dla kapitana coś zastępczego. A potem... Potem położymy go spać i pójdziemy się napić. Może poszukamy towarzystwa lowców pulkownika Ragona.

Hadar rozluźnił się natychmiast, parsknął krótkim śmiechem.

– Bez urazy, poruczniku, ale oficer tylko by zawadzał. Wezmę raczej Taruka. Więcej się wtedy dowiemy.

Po chwili wahania Kerk pokiwał głową.

– Racja. Ja się rozejrzę gdzie indziej. Ale już jutro.

\*\*\*

Najbliższa wieś nie była zbyt daleko, a prowadząca do niej leśna ścieżka okazała się jedyną w miarę przejezdną. Plac tuż przed stojącą u granic osady karczmą wydeptano już na twardo.

Kerk Tor, Dalina Trakia i Evar Kalawa poprowadzili konie przejściem między gościnnymi izbami do umieszczonej na tyłach gospody stajni. Na tę krótką chwilę w pomieszczeniach zapadła cisza, a troje żołnierzy odprowadziły spojrzenia kilkunastu par oczu.

Zajęli miejsca w kącie, przy lepkiem od brudu stole. Karczmarz podszedł, patrząc nieufnie. Kalawa zamówił pieczone, porucznik i Trakia po dyskretnej inspekcji zawartości sąsiednich stolów uznali, że lepiej pozostaną przy piwie.

– Podobno gnębią was ukryci w lasach maruderzy z wojsk regenta. – Głos Kerka zatrzymał odchodzącego już gospodarza.

Dalina przewróciła oczami, dając do zrozumienia, co sądzi o dyplomatycznych umiejętnościach oficera. Ale gospodarz stanął i wzruszył ramionami.

– Ja tam nie wiem. Do gospody nie przychodzą. W lasach siedzą – odparł, nie odwracając się.

– A co wam do tego? – Z głębi sali rozległo się zaczepne wołanie. Pytający musiał mieć słuch sowy.

Kerk odszukał go wzrokiem. Młody mężczyzna patrzył wrogo, bezczelnie. Inni z ciekawością oczekiwali na rozwój wydarzeń. Zanim porucznik zebrał się do odpowiedzi, z ławy podniósł się Evar Kalawa. Wielki żołnierz ogarnął izbę spojrzeniem jednego pozostającego mu oka, pochylił się nieco do przodu.

– A kogo ma to interesować, jeśli nie nas?

Jego postura, opaska zasłaniająca otwór po oku i wyraźna blizna przez pół twarzy zrobiły wrażenie. Chociaż zaledwie chwilowe.

– Pułkownik Ragon radził sobie całkiem dobrze i bez was. Narobicie tylko zamieszania. Te okolice trzeba znać, tak jak pułkownik i jego ludzie. I jak my.

Na środek izby wytoczył się niski, chudy osobnik w brudnych lachach, ze zmierzwionymi włosami.

– Taaaak... – wybelkotał. – Rrragon rrradzi sobie świetnie. Nnnie potrzebujemy was. W lasach nie ma już przecież ni... kogo – czknął. – Tytytylko zające.

– Siadaj na dupie, Ram, i stul pysk! – krzyknął ktoś.

Ram odwrócił się w stronę głosu, wystawił palec wskazujący i zaczął nim gniewnie wymachiwać. Karczmarz podszedł do niego od tyłu, położył mu dłoń na ramieniu.

– Siadaj, Ram, i napij się jeszcze. I zamknij się lepiej, bo wywalę cię na mróz – dodał, widząc, że tamten zbiera się do kolejnego

protestu. – Wybaczcie – zwrócił się do żołnierzy. – Chodzi pijany od rana, to mu się już w głowie miesza.

A w izbie utrzymywała się niespotykana w takich miejscach cisza. Miejskowi rozmawiali szeptem, od czasu do czasu rzucając ukradkowe, niechętnie spojrzenia w kierunku wojskowych. Kalawa włożył sobie do ust spory kawał pieczeni.

– Zimne. Kurwa. Chyba nie chcą nas tutaj.

Kerk bębnił palcami po stole, minę miał ponurą i zaciętą. Pociągnął łyk wstrętnego piwa, skrzywił się i zerwał na równe nogi. Trakia spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Muszę odetchnąć. Zaraz wracam. Nie ruszajcie się stąd.

Wyszedł, stanął w podcieniach. Próbował zebrać myśli. Hadar dziś rano opowiedział mu o skutkach popijawy z ludźmi Ragona. Sierżant i Swen Taruk musieli doskonale odegrać rolę żądnych nagród, znudzonych bezczynnością i pryncypialnością swoich oficerów żołdaków, bo łowcy, gdy mieli już mocno w czubach, chętnie, choć nieco nieskładnie, zaczęli opowiadać, ile pułkownik płaci za głowę. W przypływie samogonowej miłości byli nawet skłonni dopuścić Hadara i Taruka do wspólnego interesu. Jednak żołnierze nie zdołali uzyskać jasnej odpowiedzi, czy ofiary polowań na pewno były wyłącznie maruderami lub parającymi się rozbojem dezertierami. Rozmówcy uśmiechali się jedynie porozumiewawczo, zanim padli bez przytomności na podłogę.

Dla Kerka wszystko było jasne. Ale wystarczyło, że przed oczami stanęła mu wymizerowana twarz kapitana, by pojął, że to może okazać się za mało. Do Asgera niewiele docierało, aluzje i brak jasnych, pewnych odpowiedzi nie mogły go przekonać. Przynajmniej na razie. Jeśli nie wróci z konkretami...

– Oficerze... – Cichy głos zza rogu wyrwał go z zamyślenia. – Ciii... Nie odwracaj się. Po zmierzchu, w chacie, poza wsią.



Przy trzech bliźniaczych sosnach. Musieliście ją mijać po drodze. Konie ukryjcie gdzieś z dala, żeby nikt nie widział. – Przy wejściu rozległ się szmer, szept umilkł, cień zamigotał na chwilę i zniknął.

Porucznik spokojnie minął mężczyzn, którzy pojawili się w drzwiach, usiadł koło swoich ludzi.

– Kalawa – rzucił cicho – jak stąd wyjdziemy, wracasz do stacji. Jeśli nie zjawimy się z Trakią przed nocą, szukajcie nas w chacie przy drodze. Tej, którą mijaliśmy. Z sosnami. Pamiętacie? Trakia, mówiłaś, że to jakaś rudera. A teraz zjedz, jeśli jeszcze masz ochotę, napijmy się, jak damy radę, posiedźmy chwilę. A potem chodźmy.

\*\*\*

Hadar stanął przed drzwiami kwatery kapitana, przyłożył ucho do ciemnego drewna i nasłuchiwał. Ze środka nie dochodził najbliższy szmer, odsunął się więc nieco i uniośł zwiniętą w pięść dłoń, gotowy, by załomotać w deski.

Drzwi uchyliły się gwałtownie. Stojący w nich Asger, przekrzywając głowę, spoglądał na sierżanta; w jego oczach paliły się ironiczne iskierki.

– Co się tak czaisz? Wejdz.

– Kalawa wrócił. Porucznik i sierżant Trakia zostali. Jeśli ich nie będzie przed nocą, trzeba sprawdzić.

– Jak zawsze.

Asger usiadł w fotelu, odchylił głowę. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Hadar westchnął, podszedł do łóżka, wziął pled, wrócił do dowódcy. Przykrył oficera, nie zwracając uwagi na gniewny grymas na jego pobladłej twarzy.

– Mam jeszcze trochę obowiązków, muszę iść. Potrzebuje pan czegoś, kapitanie?

- Wino. Grzane wino. Przyślij kogoś.
- Zjadłbyś coś, Asger.

Sidort zmarszczył nos, jakby poczuł mdłości, potrząsnął głową. Hadar zacisnął zęby, zaszalutował, chociaż dowódca zdążył już przymknąć powieki, i zniknął na korytarzu.

Oficer otworzył oczy, jak tylko za sierżantem zamknęły się drzwi. Ściany wydawały się drżeć w wątłym, niepewnym świetle płomieni kilku olejowych lampek. Na zewnątrz panowała już kompletna ciemność, ale przecież nie mogło być jeszcze późno. Żołnierze dopiero przed chwilą skończyli obiad, po raz kolejny zignorowany przez kapitana. Asger uniósł się z wysiłkiem, podszedł do stojącego na biurku lichtarza, zdjął z niego świecę. Usunął klosz małej lampki, parząc sobie przy okazji palec. Przytknął knot świecy do rozedrganego płomyka...

Okno otworzyło się z hukiem, do środka wtargnął zimny wiatr i płatki śniegu. Lampka zgasła, kapitan odrzucił świecę i dopadł okna. Zamknął je i oparł czoło o chłodną szybę.

- Wino, kapitanie.

Niemal podskoczył. Przed chwilą usłyszał cicho skradającego się korytarzem sierżanta, a teraz nie zauważył, jak ktoś wszedł do jego kwatery. Podniósł wzrok, nie odwracając się. W szybie odbijała się młoda twarz. Okrągła, szczerą. Żołnierz z hardą ciekawością, pewnym siebie uśmiechem wpatrywał się w stojącego tyłem Asgera.

– Postaw na biurku. – Obserwował, jak chłopak spełnia żądanie, a potem prostuje się i dalej z beczelną otwartością patrzy na oficera, taksując wzrokiem jego sylwetkę. – Ty jesteś ten nowy, Bojan Wit.

- Tak jest, kapitanie.
- Skąd pochodzisz?

– Z Guza. Wieś w okolicy Dobina. Na południu.

– Na południu? Zazdroszczę. Moja rodzina jest z północy, z niezbyt przyjaznych okolic. Zimno i wietrznie. Jak dzisiaj. Ten Dobin to chyba nad morzem?

– Blisko. Ale ja w Dobinie byłem może trzy razy. A morza na oczy nie widziałem. Moje życie było w Guzie. Kapitanie. – Ostatnie słowo padło po chwili, jakby nieco ironicznie, niepoważnie.

Asger odwrócił się gwałtownie. To był błąd – zakreśliło mu się w głowie. Wyciągnął rękę, przytrzymał się ściany. Spojrzał na żołnierza. Widział go jakby za mgłą, z zamazaną twarzą; nie potrafił skupić na nim wzroku. Ale był przekonany, że Bojan wciąż się uśmiecha, z pełnym impertynencji zadowoleniem.

– Kapitan nie czuje się najlepiej.

– Kapitan czuje się świetnie – warknął Sidort, prostując plecy i możliwie pewnym krokiem dochodząc do biurka. Wyciągnął rękę w kierunku szklanki, ale dłoń rozminęła się z nią. Zaklął, gdy poczuł, jak miękną mu kolana. Próbując ratować się przed upadkiem, niezgrabnie oparł się o blat, strącając lichtarz.

Bojan Wit chwycił go za łokieć, poprowadził do fotela. Jego dotyk, nawet przez materiał kurtki i koszuli, okazał się dla Asgera nieprzyjemnie zimny. Chciał się uwolnić, ale czuł, jakby właśnie opuścili go resztki sił; a żołnierz trzymał mocno. Z ulgą opadł na miękki fotel. Wit na chwilę zniknął mu z oczu, by zaraz ponownie się zmaterializować. W wyciągniętej ręce trzymał szklankę.

– Wino, kapitanie – powtórzył uparcie.

Asger przyjął naczynie. Było wciąż ciepłe, więc trunek nie zdążył jeszcze całkiem ostygnąć. Oficer podniósł szklankę do ust, zawahał się. Czy zapach był taki, jak powinien? A kolor? Nie za ciemny? Czy wino nie wyglądało na zbyt mętne?

Kreśliło mu się w głowie.

– Wezwij Hadara. Niech go ktoś zastąpi, ma się tu zjawić natychmiast.

Wit zasalutował, podążył ku drzwiom. Zatrzymał się jeszcze przed nimi na chwilę, jakby o czymś myśląc, wreszcie nacisnął klamkę i wyszedł.

\*\*\*

Stara kobieta siedziała w kącie izby, kolysząc się monotennie. Szmaty, z których ułożyła sobie barłóg, wydzielaly ostre, mdlący zapach potu, moczu, brudu. Na poruczniku Torze najwyraźniej nie zrobiło to większego wrażenia, gdyż pewnym krokiem podszedł do milczącej postaci. Musiał stanąć blisko, by ujrzeć coś oprócz niewyraźnych konturów, bo w izbie panował mrok. Dalina Trakia wolala pozostać przy wyjściu.

– Nie zawsze taka była. – Mężczyźnie, który ich tu przyprowadził, wreszcie udało się skrzesać iskrę. Po chwili knot lampki rozbłysnął płomieniem, oświetlając na moment jego twarz. Był w średnim wieku, z obfitym, jasnym zarostem. – To znaczy, nie aż taka. Zawsze czegoś jej tam w głowie brakowało, inaczej nie odważyliby się na to, co zrobili.

Podszedł do pieca, usunął popiół, załadował szczapami drewna. Teraz, gdy lampka już płonęła, rozpalenie w palenisku zabrało chwilę. Zajrzał w garnek i skrzywił się, ale przesunął go na szybko nagrzewającą się płytę. Robiąc nieznośny hałas szukał wśród naczyń czystej miski i łyżki.

– Galu – powiedział – ci mili wojskowi przyszli, by zapytać o twojego syna.

Kobieta zaczęła kolysać się nieco szybciej, a z jej ust wydobył się cichy, pełen bólu skowyt.

– No właśnie. Teraz już całkiem jej się w głowie pomieszało. Może nie doszłoby do tego, gdyby nie śnieżyce. Szukali włóczęgów po traktach, jeździli w okolice miasta, po żebraków, po różnych pomyleńców. Wiecie, takich, którzy nikogo nie obchodzą, nikt się nie upomni. Ale jest zima, nie tak łatwo teraz podróżować. A oni przyzwyczaili się do tych pieniędzy. Cóż z tego, że każdemu przypadną drobniaki, na szklanekę samogonu starczy.

– Oni?

W chacie zrobiło się cieplej, więc zaczęło cuchnąć jeszcze bardziej.

– Ludzie Ragona. No i nasi, powstała banda wyrzutków, szumowin, lotrów. Narajają tamtym ofiary, dostają swoje ochłapy. Wczoraj padło na syna Gali. Nie był zbyt mądry, nawet raczej przygłupi, ale nie zasługiwał na śmierć.

Napełnił miskę breją z garnka, podszedł do kobiety. Przemawiał do niej łagodnie, zachęcał do jedzenia. Skutek był marny, ale jakiś był.

– A maruderzy? – rzuciła Dalina.

– Byli. Na początku, jeszcze jesienią. Niezbyt wielu, ale byli. Pulkownik rozprawił się z nimi w pół miesiąca.

Porucznik Tor gniewnie zmarszczył brwi.

– Dlaczego nie zgłosiliście tego, dlaczego pozwalacie...?

Przerwało mu zniecierpliwione mruknięcie.

– Kto? Banda chłopów, co poza własną wsią nic nie widzieli? Mamy do miasta iść, domagać się sprawiedliwości? Tamci dobrze wybierali, nikomu się nie chciało. A tu... Tu prawem jest Ragon. Poszła do niego kiedyś dziewczyna, mówiła, co się wyprawia. Na- iwna. Ale nie ona jedna wierzyła, że pulkownik nie ma pojęcia, co robią jego ludzie. Następnego dnia znaleźli ją w lesie ze skrzyconym karkiem. A polowania były dalej. Ale wystarczy, już dość. Mam dość – szepnął. – Nie mogę dłużej nie mówić.

\*\*\*

Tym razem Hadar załomotał w drzwi, jak tylko do nich dotarł. Odpowiedziała mu cisza. Załomotał jeszcze raz – znowu cicho. Zaniepokojony nacisnął klamkę i wkroczył do pokoju.

Asger leżał w fotelu, zwinięty w kłębek. Sierżant rzucił się w jego kierunku, kopnął szklanę, poślizgnął na rozlanym winie.

– Uważaj. – Dotarł do niego zachrypnięty szept. – Trochę nałagaba... nagała... Spadło.

– Asger, kurwa. – Hadar poczuł, że chce mu się płakać.

– Ciii... Nie wolno tak... – Kapitan zamilkł, a Hadarowi przemknęło przez głowę, że dowódca jest pijany. – Nic nie piłem. – Ożywił się na chwilę Asger, jakby czytając sierżantowi w myślach. – Wit to przyniósł, a Wit jest dziwny. Woląłem nie pić. On coś ukrywa, wiesz?

– Tak, kapitanie, a teraz spać.

Sierżant, chociaż wielki i silny, z trudem uniósł niemal bezwładne ciało. Posadził Sidorta na brzegu łóżka, zaczął zdejmować z niego kurtkę. Poczuł, że oficer jest zupełnie rozpalony. A Asger mówił dalej:

– Widziałeś, jak on patrzy? Obserwuje. Pyta. Ten jego uśmiech, oczy... Dziwny jest, nie myślisz? Bardzo dziwny. Coś knuje. Mówilem porucznikowi, ale on mnie nie słucha.

Hadar na szafce koło łóżka dostrzegł mały słoiczek i wypełniony wodą kubek. Zostawił je porucznik, z przykazem, by zaaplikować kapitanowi tabletkę, gdyby ten znów zaczął gorączkować. Sierżant wyluskał dwie pigułki, zmusił opornego Asgera do popicia i przełknięcia, położył go niemal przemocą. Ściągnął mu jeszcze buty, przykrył po samą brodę. Oficer błyskawicznie zapadł w płytki, niespokojny sen.

Hadar dorzucił drewna do dogasającego kominka, wytarł wino z podłogi. Gdy siadał w fotelu, w którym miał zamiar spędzić tę noc, czuł się tak, jakby przebiegł kilka mil w pełnym uzbrojeniu.

\*\*\*

Kapitan słuchał raportu składanego przez porucznika i czuł, że się czerwieni. Był oczywiście wściekły. Na Hadara, że ten pozwolił mu tak długo spać, na Kerka, bo, cholera, chyba miał rację, na zimę, bo była. Na cały świat. Ale nie potrafił zdusić myśli, że przede wszystkim jest wściekły na siebie.

Miał wrażenie, że po raz pierwszy od kilku dni rozumie, co się wokół niego dzieje. Raport porucznika stanowił logiczne uzupełnienie wcześniejszej relacji sierżanta Hadara z popijawy z ludźmi Ragona. Stanowił logiczne uzupełnienie tego, co z uporem starano się dowódcy wbić do głowy już wcześniej. A jeszcze wczoraj zgodził się na wycieczkę Kerka tylko dlatego, żeby dali mu spokój i nie zwracali głowy swoją paranoją.

– Co robimy?

Asger przeczesał dłonią jasne włosy.

– Mundury... Mieli je od żołnierzy, tych pierwszych, prawdziwych maruderów?

Porucznik pokiwał głową. Kapitan wbił wzrok w podłogę.

– Wciąż nie możemy być pewni.

Kerk jęknął.

– Kapitanie...

Ale Sidort machnął ręką.

– Nie mówię przecież, że mamy nic nie robić. Czy Ragon i jego ludzie coś podejrzewają?

– Nie. Chyba nie.

– Tylko dlaczego, Kerk, Ragon to robił? Dlaczego pokazywał nam te trupy, chwalił się nimi? Przecież nie jest idiotą.

– Może oszalał?

Zamyślony Asger popatrzył na porucznika, aż wreszcie skinał głową.

– Może. Nic to. Trzeba zawiadomić dowództwo. Ahterber niech jedzie, musi się przedrzeć przez ten śnieg. Niech Hadar weźmie paru ludzi, zamknie zbrojownię, ustali warty. Rozbrajamy załogę. Ja zajmę się Ragonem. Mam nadzieję, że nie narobimy sobie kłopotów.

\*\*\*

Podwładni pułkownika dali się umieścić pod kluczem zaskakująco łatwo. Zaskoczeni, pozbawieni dostępu do większej ilości broni, w mniejszości, postawieni w obliczu regularnego wojska okazali się niemal zupełnie bezradni. W ciągu kilku chwil władzę w stancy przejęli żołnierze Sidorta, a on sam udał się do sypialni Ragona. Dwóch pilnujących jej żołnierzy zaszalutowało, wpuszczając dowódcę do środka.

Ragon spojrział na niego wściekle.

– Twój ojciec przewraca się w grobie, szczeniaku. Gówniarz z ciebie, butny i głupi. Jak śmiesz zamykać mnie tutaj, panoszyć się, aresztować moich ludzi? Jesteś tylko kapitanem, szczyt!

Asger z zainteresowaniem rozejrział się po wnętrzu. Nie był tu wcześniej. Sypialnię urządzono w surowym stylu, pasującym do doświadczonego wojskowego. Jednak ascetyzm wystroju przełamano przedmiotami o pozbawionym ostentacji pięknie. Grafittowoszary zegar na kominku, narzuta w geometryczne wzory na łóżku, kryształowe kieliszki, które kapitan już wcześniej widział. Ragon miał gust.



– Jeśli chodzi o starszeństwo szarż, pułkownika, to wysłałem już kogoś do mojego dowódcy. Na razie zastosujemy areszt domowy i obawiam się, że jest pan skazany na moje towarzystwo. Co najmniej przez kilka dni. – Opuścił głowę, zmarszczył nos i zaczął poprawiać zawinięty mankiet kurtki.

Ragon schował rękę za plecy, ruszył w stronę Asgera. Gdy dzielila go odległość dwóch kroków skoczył, zamierzając się krótkim sztyletem. Sidort czekał bez ruchu, w ostatniej chwili usuwając się pułkownikowi z drogi. Uchylił się przed ciosem, złapał starszego mężczyznę za nadgarstek, wykręcił mu rękę. Ragon krzyknął, rozległ się brzęk upadającego na podłogę noża.

– Powinienem być jednak kazać pana przeszukać – stwierdził Asger, podnosząc sztylet i wążąc go w dłoni. Ciemne, gładko wypolerowane drewno rękojeści było piękne w swej prostocie. – Uspokoilbym się na pana miejscu, mogę jeszcze wezwać żołnierzy.

Usiadł na krześle, wyciągnął przed siebie nogi.

– Pułkowniku, wiedział pan, że nie wszystkie z ofiar to żołnierze armii regenta, prawda? – zapytał spokojnie.

Ragon prychnął.

– Pomieszalo ci się w tym twoim pustym lbie, Sidort.

– Gdyby był pusty, nie miałyby się w nim co mieszać.

– Dureń z ciebie, ot i tyle. Głupi młokos, któremu wydaje się...

Asger westchnął.

– Pułkowniku, czy moglibyśmy odnosić się do siebie choćby z pozorami szacunku? Nie jest miło słuchać, że ktoś cię uważa za durnego gówniarza o pustym lbie.

– Twój ojciec, Sidort...

– Mój ojciec nie żyje. Zostawmy go w spokoju. – Głos kapitana stwardniał. – Był bohaterem, a ja nie dorastam mu do

pięt, tak? Zapewne coś w tym jest. Ale niech pan sobie daruje. Już mówiłem, że nie mam zamiaru ścigać się z pamięcią o nim. Wolałbym wiedzieć, dlaczego pozwalał pan swoim lotrom zabijać niewinnych ludzi. Bo wiedział pan przecież, musiał pan wiedzieć.

Ragon podszedł do siedzącego Asgera, spojrzal na niego z góry.

– Takim głąbem jesteś, Sidort?

– No i znowu. Prosiłem...

– Niszczysz moje wysiłki, gnoju. Wojna zabrała mi zdrowie. Poświęciłem wszystko dla rebelii. Wszystko, Sidort. Jestem kaleką, ale nie żałuję. Oplacało się. I co, mam teraz osiąść tu, na pustkowiu, nikomu niepotrzebny? Nie, kapitanie. To wbrew mojej naturze. Będę służyć, dopóki starczy mi sił. Mam nadzieję, że twój zwierzchnik rozumie więcej niż ty. Mam nadzieję, że doceni. Gdy dowiedziałem się, kim jesteś, byłem przekonany, że znajdziemy wspólny język. Jak z twoim ojcem. Pomyliłem się. On był inny, gotów do ofiar. – Wbił wzrok w młodszego oficera, uśmiechnął się. – Doskonale wiem, że jedną z nich byłeś ty.

Asger wciągnął powietrze, przez chwilę nie był w stanie go wypuścić. A Vuk Ragon stanął za jego krzesłem, oparł dłoń na oparciu i schylił się lekko.

– Eryg Sidort cierpiał. Wiedział, że to z powodu jego działalności ciebie wprowadzono. Wiedział, gdzie trafiłeś i co ci grozi. Cierpiał, widziałem to, jednak potrafił oddzielić osobiste... kłopoty od tego, co najistotniejsze. Cel był najważniejszy, powstanie, walka. Gdyby skupił się na cierpieniu, gdyby skupił się na tobie... Nie byłby tak wspaniały. Nie podziwiałbym go tak, jak to robię. Ty jesteś, niestety, zupełnie inny.

– Staram się. – Asger odzyskał spokój, wstał. – Proszę mi wreszcie powiedzieć, pułkowniku, dlaczego pozwolił pan zabijać

tych ludzi? Dlaczego się pan tym chwalił? Dobrze, już ustaliliśmy, że mnie pan uważa za kompletnego idiotę, ale przecież nie siebie. I moi ludzie też nie są głupi, porucznik Tor szybko...

– Kapitanie, jeżeli mówię, że to żołnierze armii regenta, to tak jest. Rozumiesz? Liczyłem, że docenisz starania starego kaleki. Ale widzę, że nazwisko nic nie znaczy. Odsunięto mnie od walki, zastąpiono takimi gówniarzami jak ty. Byłem... Jestem więcej wart niż dziesięciu młokosów podobnych tobie. Pozwól mi porozmawiać z kimś mądrzejszym, bardziej doświadczonym, z kimś, kto rozumie wojnę. Nie z tobą, nie z tym cherlawym porucznikiem. Zobaczmy, kto ma rację, jeszcze pożałujesz tego, co zrobiłeś. – Utkwił w Sidorcie rozpalone spojrzenie.

Asger zastanowił się chwilę, potem skinął głową.

– Nie mogę oczywiście wykluczyć, że ma pan rację. Wydaje mi się jednak, że nie. Powiem za to, co myślę. Nie potrafi pan żyć bez wojny. Nie potrafi pan żyć bez zabijania, bez wrogów i polowań na nich. Poznałem już takich. Jeśli dookoła nie ma nieprzyjaciół, trzeba ich stworzyć. Tak jak stało się to tutaj. I musi się pan chwalić trupami, jakimikolwiek, bo potrzebny panu poklask. Bez niego zostaje tylko bezużyteczny kaleka, nieistotny, niepotrzebny, zapomniany. Uwierzył pan w stworzoną przez siebie iluzję. Wyciera pan sobie gębę moim ojcem. On taki nie był, nigdy. A ja... Ja mogę mieć tylko nadzieję, że nigdy się taki nie stanie.

Odwrócił się w stronę drzwi, podszedł do nich. Staął jeszcze na chwilę, trzymając dłoń na klamce.

– Mój cherlawy porucznik jest lekarzem. Właśnie ogląda ciała, które zobaczyliśmy pierwszego dnia. Wtedy nie miał okazji zrobić tego dokładnie, potem nie chciał wzbudzać podejrzeń. Może ma pan rację. Jeśli okaże się, że jego przypuszczenia były błędne, to ja będę miał kłopoty, nie pan. Jednak myślę,

że po prostu pan oszalał, pułkowniku. Nie byłby pan pierwszy – stwierdził i zniknął za drzwiami.

\*\*\*

Żołnierz stał oparty o niemal wrosniętą w mur wierzbę i obserwował dziedziniec. Zaczął już zapadać wieczorny mrok, plac więc prawie opustoszał. Jeszcze tylko jedna drobna sylwetka podążała do stajni, owijając się w za duży, ciepły płaszcz. Mężczyzna splunął i niechętnie pokręcił głową. To nie była ta, na którą czekał. To nie była Dalina Trakia, wysoka, wyniosła, piękna dziewczyna o zimnym spojrzeniu. Ale może i dobrze. Musiał przyznać, że Daliny trochę się obawiał. Podniecała go tym bardziej, ale jednak... potrafiła budzić respekt, potrafiła pokazywać mężczyznom, gdzie ich miejsce. Nawet jemu.

Lubił zwać się Wędrowcem. Oczywiście, wciąż pamiętał, jak się naprawdę nazywał, Bojan Wit był pierwszym cudzym ciałem, w którym zamieszkał. Nie miał wątpliwości, że nie będzie ostatnim. Dlatego trzeba było odzwyczaić się od własnego nazwiska, należącego do zbiegłego żołnierza regenckiej armii i wciąż poszukiwanego przestępcy. Bojan pojawił się w odpowiednim momencie. Mężczyzna wzdrygnął się na wspomnienie stanu, w jakim było już jego ciało, gdy ten młody żołnierz stanął w progu leśnej chaty, przypieczętowując swój los. Wędrowiec, który nie zaczął jeszcze wówczas wędrowki, ukrywał się w niej od kilku dni, gnijąc powoli. Bojan był zmarznięty, zmęczony, lecz dumnie pokazał przydział do trzeciej kompanii lekkiej jazdy. Gonił ją od tygodnia, zdeterminowany, by jak najszybciej do niej dołączyć. Cóż, w pewien sposób dołączył. Na pewno ciałem, chociaż Wędrowiec czasem odczuwał cichą, senną obecność chłopaka. Bojan wciąż żył, jednak pozabawiony woli oraz kontroli nad swą pospolitą powłoką.

Niepozorna postać dziewczyny zniknęła w bramie stajni i Wędrowiec ruszył za nią. Śnieg skrzypiał pod ciężkimi butami tak głośno, że mężczyźnie wydawało się, że musi być go slychać w każdej części stancji. Ale co z tego? Szedł do stajni, do swojego konia. Nic w tym dziwnego.

W środku było jeszcze ciemniej niż na zewnątrz. Chwilę musiał przyzwyczajać wzrok, zanim wypatrzył wąty płomień wydobywający się z malej, ręcznej lampki. Poszedł w tamtą stronę. Po chwili usłyszał cichy, śpiewny dziewczęcy głos. Żołnierka uspokajająco mruzczała do wierzchowca.

– Minka? – zapytał.

Płomień lampki zakolysał się, gdy dziewczyna uniosła ją gwałtownie, chcąc przyrzeć się nadchodzącemu. Blask oświetlił okrągłą, piegowatą twarz i wielkie, błękitne oczy. Nie była piękna, ale ładna na pewno. Nie ma więc co marudzić.

– Bojan! – wykrzyknęła wesoło. – Przestraszyłeś mnie!

– Oj, nie chciałem. Coś się stało?

– Mój koń zaczął kuleć podczas ćwiczeń. Chcę sprawdzić.

– Pomóc?

– Potrzy masz lampkę?

– Jasne. – Wyciągnął dłoń, ale zamiast lampki chwycił nadgarstek dziewczyny. Szarpnął.

– Bojan! – krzyknęła.

– Co, Minka, co?

Wsunął ręce pod jej płaszcz, ścisnął mocno w pasie. Zesztywniała, a potem zaczęła się wyrywać. Chwycił ją za kołnierz, przyciągnął do siebie. Zamachnęła się lampką, jednak zdążył sparować cios, zanim ten dotarł do celu. Chłopak syknął, gdy poczuł żar na dłoni. Jakoś mu się wywinęła, zaczęła uciekać. Skoczył jej na plecy, przewrócił. Broniła się wściekle, nie przepuszczał, że w tej

małej istocie drzemie tyle zaciętości i siły. Nawet zaczęła mu się podobać, prawie jak Dalina Trakia. Kopala, odwróciła się na plecy, wyciągnęła do jego oczu zakrzywione palce. Złapał ją za nadgarstki, przyszpilił do podłogi. Wierzgnęła, kolano trafiło w krocze. Pociemniało mu w oczach, zwolnił uścisk. Wykorzystała to natychmiast, zrywając się z ziemi; krzyczała, biegnąc ku wyjściu.

– Ty dziwko – syknął i rzucił się w pościg. Dopadł ją tuż przed bramą, chwycił za włosy, zaciągnął z powrotem do środka. Rzucił na podłogę, kopnął kilka razy w brzuch. Minka straciła oddech, a potem zakasłała i zwymiotowała. Patrzył na nią z góry, z obrzydzeniem.

Zdjął ze ściany bat, zamachnął się. Uderzył, raz, drugi, trzeci. Dziewczyna dyszała tylko, wciąż nie mogąc złapać powietrza. Położył się na niej, chwycił za włosy, drugą ręką unosząc płaszcz. Tłukł jej czołem o klepisko tak długo, aż przestała wydawać z siebie ten denerwujący dźwięk. Rozerwał jej spodnie, rozpiął swoje.

– Kapitan... cię... zabije...

Wtargnął w nią, śmiejąc się chrapliwie.

– Jemu byś dała, co? Każda z was by mu dała. Ależ nie – przypomniał sobie nagle. – Ty przecież marzysz o tej chudej suczce. Szkoda cię na nią, Minka. Potrzebny ci mężczyzna. A śmiercią mi nie groź. Śmierci się nie boję... Jak to robicie, co? Ty i ta druga dziwka? Z mężczyzną jest lepiej, co? Przyznaj, że lepiej!

Szybko skończył. Za szybko. Był zły, mimo że przez ciało przebiegł mu spazm rozkoszy. Wrzasnął, zacisnął palce na jasnych włosach dziewczyny.

I wtedy kilka par rąk poderwało go na nogi. Rudy porucznik przyklęknął przy pokrwawionej Mince, szepcząc coś uspokajająco, a olbrzym bez oka wyrzwał żołnierza w twarz tak mocno, że ten zachwiał się, przytrzymał ściany, aby nie upaść, po czym wypluł dwa zęby.

Kerk nie podniósł nawet głowy, aby powiedzieć:

– Zostaw, Kalawa. Kapitan się nim zajmie. Idź po niego.

\*\*\*

Asger był blady. Ale nie jak ostatnio, kiedy trawiły go zmęczenie i gorączka. Był biały jak ściana, jak śmierć. Jakby w jednej chwili odplynęła z niego cała krew. Natomiast oczy płonęły mu wściekłością i żądzą mordy. Kalawa nigdy nie widział dowódcy w takim stanie. Kiedy biegł za nim korytarzem, był naprawdę przerażony. Kapitan przemienił się w istotę, której nie poznawał.

Sidort wypadł na dziedziniec.

– Gdzie on jest?! – krzyknął. Nie, nie krzyknął. Wydobył z siebie jakiś dźwięk, chrapliwy, gardłowy skowyt, bardziej zwierzęcy niż ludzki.

Żołnierze rozstąpili się, na końcu szpaleru ujrzał Bojana Wita. Chłopak chwiał się, podtrzymywany przez Hadara i jeszcze jednego żołnierza. Asger podszedł, nieśpiesznie, ostrożnie, nie spuszczać z niego wzroku.

– Wiesz, jaka jest kara, skurwielu – uwalniał słowa powoli, cicho, spokojnie.

Żołnierz chciał się rozeźmiać, z gardła wyszedł mu jednak tylko bulgot. W kącikach ust pojawiły się bąbelki krwi.

– Za tę małą suczkę? Była chętna. Podobało jej się. Może przekona się do mężczyzn. Może wyobrażała sobie, że to ty ją ujeżdżasz... Kapitanie. – Ostatnie słowo padło po chwili, jakby nieco ironicznie, niepoważnie.

Asger znieruchomiał, tylko palce obu dłoni zacisnęły mu się w pięści.

– Zginiesz – szepnął, ale tak cicho, że stojący naprzeciw mężczyźni mogli się tego słowa domyślić jedynie z ruchu posiniąłych warg.

Oficer rozejrzął się wokół. W rogu dziedzińca, w świetle pochodni dostrzegł drzewo.

– Tam – warknął.

Hadar puścił Bojana, podszedł do dowódcy.

– Asger... – powiedział cicho.

– Kapitanie. Zapominasz się, sierżancie. – Hadar opuścił wzrok. – Wykonać.

– Jeśli myślisz, że to koniec, Sidort, bardzo się mylisz. Jeszcze się spotkamy. – Bojan Wit wykrzywił twarz, a Kalawa pchnął go w ramię.

Wtedy zaatakował. Wyszarpnął się eskortującym żołnierzom, runął w kierunku Asgera. Oficer stanął, ugiął kolana, przygotowany do obrony. Ale cios nastąpił z innej strony. Mocne pchnięcie w bok przesunęło go o dwa kroki, poślizgnął się na oblodzonej ziemi. Przez jedno uderzenie serca rozpaczliwie próbował zachować równowagę, po czym runął, skronią uderzając o garb stwardniałego śniegu. Jęknął, pociemniało mu w oczach. Tracił przytomność.

I nagle poczuł chłód, jakby kula zimna próbowała wepchnąć się do jego ciała. Przeszył go dreszcz, gwałtowny, zatrważający. Resztkami świadomości pojął, że musi się bronić. Nie wiedział, co się dzieje, rozumiał jedynie, że nie może pozwolić na to, by niewidzialna bryła lodu w niego wtargnęła. Otworzył oczy, dźwignął się na rękach, potrząsnął głową. Wystarczyło. Chłód zniknął. Pozostał tylko zwykły mroźny dzień.

Hadar pomógł Asgerowi wstać. Bojan Wit, z opuszczoną głową, bezwładnie zwisał w rękach trzymających go ludzi. U stóp kapitana leżał Swen Taruk, jeden z żołnierzy. Dalina Trakia przykleknęła przy nim, ścierając sączącą się z jego czoła krew.



– Chciał pana ochronić, Wit rąbnął go tak, że Taruk padł bez przytomności – wyjaśnił Hadar.

Asger popatrzył na Bojana. Zmarszczył brwi. Chłopak najwyraźniej dochodził do siebie, powoli unosił głowę. Otworzył jedno oko; na drugim krzepła gruba warstwa krwi. Na jego twarzy zaczęło malować się zdumienie. Kapitan pomyślał, że coś tu się nie zgadza.

– Co tobie?! – Okrzyk Daliny zerwał ledwie zawiązaną, kruchą nić zrozumienia.

Asger spojrzal na Taruka i poczul, jak oczy rozszerzają mu się przerażeniem. Powalonego mężczyznę chwyciły drgawki. Dwóch żołnierzy przykucnęło przy nim, próbując uspokoić. Taruk kopnął kilka razy śnieg, zwinął się w kłębek i wreszcie znieruchomiał.

Gardło Asgera wyschło zupełnie; próbował połączyć ze sobą wszystkie ulotne myśli. Jeszcze raz spojrzal na Bojana, odprowadzanego już pod drzewo. Chłopak wrzeszczał teraz rozpaczliwie, błagając o litość, jakby wreszcie pojął, co go spotkało. Albo... jakby właśnie przestał rozumieć, co się dzieje. Jego twarz, którą co chwilę odwracał w stronę oficera, jakby w nim szukając ratunku, była twarzą przerażonego chłopca. Jeden z prowadzących go żołnierzy uderzył go w głowę, założył mu pętlę na szyję. Inni toczyli po udeptanym śniegu solidną beczkę. Bojan opadł na kolana, trzeba było go ciągnąć. Asger postąpił kilka kroków, Hadar zaszedł mu drogę.

– Nie musi pan tego oglądać, kapitanie.

– Hadar, coś się nie zgadza.

– Wszystko się zgadza, wiedział, jaka jest kara. Postąpił pan słusznie.

– Ale Taruk... Ja też, wcześniej, gdy uderzyłem głową... Jakby mnie coś atakowało, chciało wtargnąć... A Bojan... Jakby go coś opuściło. Coś... złego.

Chciał iść dalej, ale sierżant mocno chwycił go za ramię.

– Wystarczy, kapitanie. Jest pan zmęczony. Chorował pan. Proszę to zostawić i wreszcie odpocząć.

Asger poczuł, jak opada go znużenie. Pokiwał głową, dał się poprowadzić w stronę dworu. Ale wtedy przez dziedziniec przemknął przerażony skowyt. Bojan Wit wyl ze strachu. Sidort wyrwał się Hadarowi, wybiegł na środek placu. Chciał krzyknąć, żeby przestali, że to błąd, jednak z wyschniętego gardła wydobył się jedynie szept. A silne dłonie żołnierzy zdążyły przeciągnąć sznur, kopiące w panice nogi skazańca same przewróciły pod sobą beczkę. Potoczyła się po lodzie, a gdy znieruchomiała w szarej zaspie, na dziedzińcu było już cicho.

Bojan Wit właściwie miał szczęście. Krótki sznur nie powinien skrócić mu karku i zabić na miejscu, tylko zacząć powolny proces duszenia. Może żołnierz zbyt mocno się wrywał. Szansa jedna na tysiąc, że umrze bezboleśnie. I udało mu się.

Bięgący ku chłopakowi dowódca zatrzymał się w pół kroku.

\*\*\*

Za oknem zapadła ciemność, a Asger nie miał najmniejszych śladów gorączki. Pomyślał, że to dobry znak.

Rozległo się pukanie do drzwi, po chwili w progu ukazał się sierżant Hadar.

– Co z Minką? – zapytał oficer.

Hadar podszedł do okna.

– Ciało dojdzie do siebie szybko, jest młode. Ale...

Asger przymknął oczy, zmęczonym gestem przejechał dłonią po twarzy.

– Porucznik kazał przekazać, że miał rację. Z tymi trupami – kontynuował sierżant.

Oficer pokiwał głową. Zupełnie o tym zapomniał, jednak teraz odetchnął z ulgą.

– Może pójdzie pan do niej, kapitanie.

Zapadło milczenie. Asger długo wpatrywał się w profil stojącego przy oknie podwładnego, ale przed oczami tkwiła mu uśmiechnięta, piegowata, dziewczęca twarz.

– Tak, masz rację. Powiniennem.

\*\*\*

Stał przed drzwiami sypialni, którą teraz oddano do wyłącznej dyspozycji Minki Rohy. Uniósł dłoń, chciał zapukać. Jakby nagle stracił wszystkie siły – oparł czoło o deski, wsłuchał się w wydobywające ze środka odgłosy.

Z Minką musiała być Dalina Trakia. Ciche dźwięki kołysanki przebijały się na zewnątrz przytłumione, ale wyraźne. Dalina śpiewała ujmującym, niskim głosem. Asger opuścił rękę. Z ulgą podjął decyzję, że nie będzie przeszkadzać. Wróci później.

Na końcu korytarza znajdował się gabinet pułkownika Ragona. Nie był mu teraz potrzebny, zdecydowano więc, że może w nim dojść do siebie Swen Taruk. Asger zapukał, wszedł do środka. Gestem nakazał żołnierzowi, by się nie podnosił i nie salutował.

– Nie powinienś był tego robić. Dałbym sobie radę. – Ugryzł się w język odrobinę za późno, nie chciał zaczynać od wyrzutów. – Ale dziękuję – dodał ugodowo. – Jak się czujesz?

– Lepiej. – Taruk wyciągnął rękę w stronę stojącego na stoliku kubka; nie mógł go dosięgnąć z materaca, który położono w gabinecie.

Asger podszedł do stolika, chwycił naczynie, podał żołnierzowi. Ich palce zetknęły się na moment, oficer drgnął, gdy poczuł

chłód skóry podwładnego. Uniósł na niego zaskoczone spojrzenie. Taruk zawsze budził respekt masywną sylwetką, ale oczy miał łagodne i wręcz naiwnie życzliwe. Teraz patrzył hardo, chociaż uważnie, z impertynenckim uśmiechem, otwartą bezczelnością. Asger cofnął dłoń.

– Jest pan moim dowódcą, mam pana chronić... Kapitanie. – Ostatnie słowo padło po chwili, jakby nieco ironicznie, niepoważnie.

– Taruk...

– Tak, kapitanie?

Asger sztywno pokręcił głową. Wyszedł na korytarz. Po kilku krokach kucnął pod ścianą, oparł się o nią plecami. Dotknął dłonią czoła. Niestety, nie mylił się. Gorączka ustąpiła. Chciał, w tym momencie naprawdę chciał, by okazało się, że wciąż nie myśli jasno, że wciąż może tłumaczyć się wynikającymi z choroby halucynacjami.

Wstał szybko, gdy na schodach zobaczył Muskata Tihaniego. Żołnierz wspinał się, całkowicie skupiony na trzymanej w dłoniach tacy. Omal jej nie upuścił, gdy zauważył dowódcę i machinalnie chciał zasalutować. Asger pokręcił głową, wybawiając go z kłopotu; pytająco spojrzał na jedzenie.

– Kolacja. Dla pułkownika Ragona. Pan też chyba jeszcze nie jadł, kapitanie.

– Już idę.

Ale nie poszedł. Po drodze znowu przystanął pod drzwiami Minki. Dalina przestała śpiewać, nie znalazł więc kolejnego usprawiedliwienia. Zapukał, a po chwili wszedł do pokoju, wpuszczony przez milczącą Trakię.

Minka siedziała na łóżku, oparta o poduszki. Błada, mizerna, z zaczerwienionymi oczami. Na widok dowódcy poruszyła się

niespokojnie, a on pomyślał, że może jednak nie powinien na razie przychodzić.

– Jak się czujesz? – zapytał i zaraz zrobiło mu się głupio. Nie mógł zadać bardziej idiotycznego pytania.

– Podle. Dziękuję, że kazał go pan zabić. – Dziewczyna mówiła cicho, głos jej drżał na granicy szlochu.

– To oczywiste.

Starł się, by nie wyczuły w nim wahania. Ale przerażona, nagle zupełnie odmieniona twarz Bojana Wita znowu stanęła mu przed oczami.

– Nie wiem, czy kiedyś zapomnę. Jego oddech, jego dłonie, jego... Poczucie, że może... – Głos jej się załamał.

– Nie zapomnisz. Nie ma tu twojej winy, to on był nic nie wart, nie ty. Mam nadzieję, że nauczysz się z tym żyć. Postaraj się.

Wyrzucił z siebie te słowa, wyrecytował je, zanim zdążył pomyśleć. Uniósł wzrok i zobaczył, że Minka patrzy na niego gniewnie, a Dalina z niedowierzaniem i zaciekawieniem. Miały rację. Minka nie potrzebowała teraz jego rad. Nie potrzebowała żadnych rad. Zaczerwienił się i postąpił krok w kierunku drzwi.

– Przepraszam, nie powinienem. Zostawię was. Odpoczywaj, Roha. Gdybyś...

– Jak pan może mówić, co powinnam zrobić, kapitanie? Przecież nie ma pan pojęcia... Skąd pan może wiedzieć, co?!

Napastliwy, niemal histeryczny głos Minki zatrzymał go w miejscu. Chwilę stał z opuszczoną głową, świadom wyczekującej obecności sierżant Trakii. Nagle poczuł, że jeśli kiedykolwiek zdobędzie się na wypowiedzenie tych słów, to będzie to tutaj, w obecności tych właśnie dwóch młodych kobiet.

– Z doświadczenia, Roha – powiedział wreszcie cicho, bez emocji. – Ale nie, nie wiem. I nie powinienem... Odpoczywaj.

\*\*\*

Sierżant Trakia zeszła do jadalni, gdy większość żołnierzy zdążyła już zjeść kolację. Stała w progu, zaskoczona widokiem dowódcy. Asger siedział samotnie przy stole pod oknem i zamyślony lepił kulki z chleba. Wciąż czuła się nieswojo w tych chwilach, kiedy był jej w jakiś sposób bliski. Tak było i teraz. Kapitan miał rozpiętą kurtkę, połużniony kołnierzyk koszuli i wyglądał jak dzieciak. Podeszła do jego stołu, usiadła i wyciągnęła przed siebie nogi. Była zmęczona.

Czuła na sobie uważny, współczujący wzrok oficera. Chwyliła kubek, który stał przed nim na blacie i powąchała zawartość. Wino. Tego jej było potrzeba. Pociągnęła duży łyk.

– Przyniosę ci. Zostaw moje. Też jest mi potrzebne.

W jego głosie wyczuła raczej rozbawienie niż irytację, ale wiedziała, że mówił prawdę. Wszyscy potrzebowali chwilowego odurzenia.

– Minka zasnęła. Lamberda mnie przy niej zastąpiła.

Lamberda. Przypomniła ją sobie. Wysoka, smukła, o krótko ostrzyżonych włosach. Ku rozczarowaniu żołnierzy liczących na to, że któraś z dziewczyn spojrzy na chociaż jednego z nich laskawym okiem, przypadły sobie z Minką do gustu. Chyba nie łączyło ich żadne wielkie uczucie, jednak dostarczały sobie nawzajem ciepła i przyjemności.

– Zjesz coś? – zapytał.

Pokręciła głową. Nie była głodna, mimo że nie jadła od wielu godzin. Ale on i tak wstał, zniknął za prowadzącymi do kuchni drzwiami. Szybko wrócił, niosąc talerz z serami i pieczywem, butelkę wina i jeszcze jeden kubek. Patrzyła może trochę zbyt natrączywie na jego smukłą sylwetkę i zmęczoną twarz z pięknymi, zimnymi oczami.

– Powinam się była domyślić – powiedziała. – A właściwie to może i się domyślałam, tylko jakoś tego do siebie nie dopuszczałam. Wie pan, kapitanie, co szeptano, gdy pułkownik Elif pana awansował?

– Co?

– Że to nic dziwnego, bo lubi ładnych chłopców.

Na policzki wystąpił mu słaby rumieniec.

– Teraz też tak mówią?

– Już nie.

Postawił przed nią talerz i kubek.

– Pamięta pan, co mi pan obiecał, kapitanie? Wtedy, w Osli, gdy się przed panem otworzyłam.

Skinął głową. Wyjął korek z szyjki butelki.

– Tak. I pamiętam, że kazałem ci mnie najpierw upić.

Wstrzymała go, gdy chciał jej nalać wino. Teraz to ona na chwilę poszła do kuchni. Grzebała między butelkami, otwierała je po kolei, szukając odpowiedniej zawartości. Dopiero piąta odpowiednio mocno zakręciła jej w nosie. Wróciła do stołu, jednym łykiem opróżniła kubek Asgera z resztek wina, nalała przepalankę w kolorze ciemnego bursztynu.

– Z tym nie powinno być kłopotu.

Widziała wyraźnie, że dowódca czuje się zapędzony w kozi róg i najchętniej by uciekł. Trudno. Obietnic należy dotrzymywać. Postanowiła mu jednak nieco ułatwić mówienie:

– Plotki i tak krążą, kapitanie. Nazwisko Bargula Noredany jest powszechnie znane. – Zauważyła, że na chwilę szerzej otworzył oczy i dodała: – Chyba nie myślał pan, że to nam umknie. Nie wszyscy z nas są durniami. Niektórzy potrafią kojarzyć fakty. Wiemy, że Noredana kazał porywać chłopców i młodych mężczyzn z rodzin przywódców powstania, by w ten sposób ukarać

buntowników. Nie, nie wiemy wiele więcej – rzuciła szybko, widząc w jego wzroku nieme pytanie – dlatego plotkujemy. Ale niektórzy wiedzą, tylko milczą. Pułkownik Elif, Hadar... A o mnie nikt nie wiedział, dopóki nie wziął mnie pan wtedy na litość.

Asger wypił zawartość kubka, Dalina napelniła go ponownie. Oficer pokręcił głową.

– Nie wiem, co Hadar wie. Nie wypytuje. Już nie wypytuje. A Elif... Był taki czas, że mnie nienawidził za to, co kazali mu zrobić. Uwolnić mnie. Bo mój ojciec umierał. Bohater powstania umierał, jego jedyny syn od niemal trzech lat tkwił u Bargula Noredany. Myśleli, że to będzie najlepszym podziękowaniem za jego poświęcenie. Przywrócenie syna. Ale on się wściekł. Jeszcze bardziej niż Elif.

Wyrzucal z siebie słowa, starając się, by brzmiały wyraźnie i precyzyjnie. Jednak słyszała, że głos lekko mu drży, podobnie jak palce zaciśnięte na kubku.

Dalina słyszała o Noredanie, samozwańczym generale sprzymierzonym z regentem, więcej niż przyznała teraz przed kapitanem. Wiedziała, że ma opinię dowódcy niespecjalnie zaangażowanego politycznie, ale trzymającego się tej strony, która dawała więcej szans na zarobek, rabunek, gwałt, rzeź. Że jego zadaniem było porywanie młodych mężczyzn, chłopców, z rodzin zaangażowanych w powstanie i przerabianie ich w bezmyślne narzędzia do zabijania. Była przekonana, że Noredana nie robił tego z przekonania, ale dla czystej uciechy. Wiedziała o tym od momentu, gdy pod obojczykiem kapitana ujrzała wypalone piętno BN i zapytała towarzyszy, co ono oznacza. Okazało się, że wszyscy mają jako takie pojęcie i tworzą sobie historię, będącą mieszanką prawdy i wyobrażeń, dzieląc się gromadzonymi w tajemnicy przed dowódcą wiadomościami i plotkami.



Chciała jednak wiedzieć więcej. Jak to się stało, że Sidort przeżył tam tyle czasu. Podobno po roku Noredana kazał wieszać tych, których nie udało mu się przerobić zgodnie z jego wizją. Czy Asger się ugiął? Czy życie ocaliło mu coś innego? Co dokładnie sprawiło, że nastoletni paniczyk zmienił się zdystansowanego, chorobliwie wręcz chroniącego własną prywatność, oddanego podwładnym dowódcę?

To chciała wiedzieć, ale lekko już podchmielony Asger zaczął historię od końca, a ona bała się, że go spłoszy, przerywając.

– Elif długo udawał zwolennika regenta, a z Noredaną spotykał się szczególnie często. Wydawali się zaprzyjaźnieni. Elif wiedział, co się u Noredany dzieje. I kazano mu się zdemaskować, by ratować jakiegoś gówniarza. Zrobił to, ale nie ukrywał irytacji. Jego bliskość z Noredaną przynosiła spiskowcom korzyści i uważał, że rezygnacja z tego byłaby głupotą. Miał rację, oczywiście. I jak się okazało, jego ofiara poszła na marne. Ojciec, gdy mnie zobaczył, gdy zorientował się, że z mojego powodu poświęcono jednego z użyteczniejszych szpiegów, wpadł w furję. Stałem jak głupiec na rynku Bagaridu, jakieś prowincjonalnej miejsciny, gdzie właśnie postanowili sobie pospiskować powstańcy i patrzyłem, jak się zbliża. Początkowo szedł szybko, nawet zrobiłem kilka kroków, by go przywitać, paść w ramiona. Ale potem stanął, wzrok mu stwardniał, spojrzal na Elifa i zapytał, co to ma znaczyć. I tyle. Całe jego ojcowskie szczęście. Chyba nawet Elifa zatkało.

Asger ponownie opróżnił kubek, ale Dalina postanowiła przez chwilę mu nie dolewać. Trochę za bardzo zaczął się nad sobą rozczulać, a jej chodziło o konkrety.

– Wtedy pojawił się Hadar – mówił dalej oficer. – Przedarł się przez tłum jak taran, prawie mnie zadusił w uścisku. Coś tam mamrotał, chociaż nic nie rozumiałem. Zawsze był dla mnie jak ojciec, a ja...

Drzwi do jadalni otworzyły się z hukiem, do środka weszło trzech głośno rozmawiających ze sobą żołnierzy. Na widok Trakii i Sidorta uciszyli się, zaszalutowali. Dalina zakłęła w duchu. Sama kazala im zająć się inwentaryzacją broni w stancy, mogła się więc spodziewać, że dotrą na kolację spóźnieni.

Zerknęła na dowódcę tylko po to, by się upewnić, że czas zwierzeń na dzisiaj się skończył. Asger zapadł się w sobie, wyglądał, jakby chciał się rozplakać, a ona miała na dziś dość cudzego nieszczęścia. Dolala więc jemu i sobie przepalanki, uniosła kubek i powiedziała:

– Jeszcze do tego wrócimy. Niech pan sobie nie myśli, że tak łatwo się wywinie.